

GODKI

DOROTA ŁEPKOWSKA



Nowe życie pod starymi dachami? Tak, z pewnością w 1981 roku rozpoczęliśmy całkowicie nowe życie i na pewno pod starymi dachami. Teraz, po 20 latach, już wiem, że podjęta przez nas wówczas decyzja opuszczenia Warszawy, aby zamieszkać na wsi, nie była aż tak rewolucyjna, jak się wówczas wszystkim wydawało. Były to raczej nieprzeparte ciągoty do życia wiejskiego – tak jak je sobie wyobrażaliśmy. Na pewno olbrzymie znaczenie miała historia rodzin, które z obydwu stron wywodzą się z ziemiaństwa. Dziadkowie ze strony mamy żyli przed wojną w Wielkopolsce, a dziadkowie ze strony taty na Podlasiu. Historia zniszczyła przedwojenne życie ziemiańskie i rzuciła rodziców do Warszawy. Tam założyli rodzinę, pracowali, działali, znaleźli swoje środowisko. Sądzieli, że my już „wrośliśmy” w stolicę i nie będziemy poszukiwali innych miejsc. Nie spodziewali się takiego ciosu z mojej strony – a miałam już wówczas dwuletnią Martę i kilkumiesięcznego Maćka. Co prawda już wtedy



z Krzysiem, moim mężem, szukaliśmy odpowiedniego miejsca na osiedlenie się na wsi. Były to jednak koncepcje nierolnicze, a związane z naszym humanistycznym wykształceniem. Wydawały się one bezpieczniejsze, a przede wszystkim odległe. No i nagle zdecydowaliśmy się na zmianę miejsca i całkowicie inne zajęcie. Myśleliśmy początkowo o swojskich stronach, bliskim krajobrazie, przyjaznym klimacie, a tu nagle podjęliśmy decyzję — Warmia.

Daleko, surowy klimat, nieurodzajne ziemie, a przede wszystkim nieznana kraina. Byliśmy jednak tak młodzi, naiwni, niedoświadczeni, żeby nie powiedzieć głupi, że nie braliśmy tego wszystkiego pod uwagę. Liczyła się tylko chęć życia na wsi, i to od zaraz. Jak? Za co? To były sprawy drugorzędne. Mieliśmy na Warmii żyć i gospodarować wspólnie z grupą młodych warszawiaków, młodszych od nas. Szybko przylgnęła do nas nazwa „spółka”. Dla nas ten epizod trwał bardzo krótko. Do dziś żyje w tym domu jeden z założycieli całego przedsięwzięcia. Jest on zarazem jedynym, który został na wsi.

Zamieszkaliśmy we wspólnym domu położonym na granicy dwóch wsi: Pupek i Godek w gminie Jonkowo koło Olsztyna. Razem z nami zamieszkał tu rudawy, mocno sterany życiem Reks, którego właściciele, a nasi sąsiedzi, wyjechali. Ten pierwszy dom nie wywarł na mnie specjalnego wrażenia. Ani sam budynek, ani siedlisko nie miały wyraźnego charakteru ani urody. Przed nami mieszkała tu zamożna rodzina autochtonów. Przedsiębiorczy, szanowany gospodarz uległ namowom żony i dzieci — wyjechali do Niemiec. Po paru latach wrócił i zaczął wszystko od nowa. Jego ziemia, gospodarstwo, dom — wszystko było już nie do odzyskania. Parę kilometrów dalej, w sąsiedniej wsi, wyremontował dom i założył tartak. Jest już starszym człowiekiem, ale znów na swoim miejscu, tylko dzieci daleko, a żona nie może się ciągle pogodzić z jego decyzją powrotu do Polski.

Jesień i zimę spędziliśmy już gdzie indziej, w okolicy Mrągowa, w gruntownie wyremontowanym byłym młynie, należącym do naszych warszawskich przyjaciół. Jest to piękne miejsce i dom, lecz na zupełnym odludziu, nawet leśniczówka oddalona jest około jednego kilometra. W tym dużym domu, otoczonym lasami, przeszedł chrzest bojowy, gdyż głównie byłem w nim sama z małymi dziećmi. Mąż doglądał w tym czasie gospodarstwa spółki w Pupkach i wpadał tylko od czasu do czasu. Tu zastał nas stan wojenny. Mojego ojca 13 grudnia internowano, brat pozostał w Paryżu, odcięty od nas. Mama, zupełnie sama w Warszawie, z powodu tej sytuacji wylądowała w szpitalu

z podejrzeniem guza mózgu. Przy najbliższej nadarzającej się okazji wróciliśmy z Mazur do Warszawy pożyczonym, obładowanym maluchem z niedomykającą się szybą. Była zima stulecia. Dosłownie i w przenośni. Znowu mieszkalam w moim mokotowskim domu rodzinnym, ale tym razem tylko z dziećmi. Krzyś jedynie do nas wpadał, a ja – podrzucając dzieci sąsiadce – odwiedzałam mamę w szpitalu, a tatę aż pod Drawskiem Pomorskim w obozie w Jaworzu. Próbowalam też być użyteczna przy akcji rozdzielania darów. Wiosną 1982 roku wypuścili tatę, mama wyszła ze szpitala, choć bez diagnozy, to na szczęście objawy podwójnego widzenia (sic!) ustąpiły. Brat zdecydował się nie wracać – pozostał w Paryżu dziesięć lat. Kiedy życie wróciło do normy, normy stanu wojennego, wyjechaliśmy ponownie do młyna pod Mrągowem. Stamtąd mieliśmy wrócić na Warmię, chociaż już do innego domu. Rozstaliśmy się ze spółką, ale wspólnie zakupiona ziemia, domy i maszyny trzymały nas w tym miejscu. W wyniku podziału majątku przypadło nam gospodarstwo oddalone zaledwie o kilometr od domu spółki, ale należące już do sąsiedniej wsi Godki. Nie był to więc nasz wybór, ale zrządzenie losu. Żyjemy tu ponad 20 lat, niedługo spędzimy tu połowę naszego życia. Starsze dzieci opuściły już dom, my pewnie zostaniemy tu na zawsze. A zaczęło się tak nieoczekiwanie. Udomowiliśmy miejsce przypadkowe, całkiem obce i jak się początkowo wydawało, nieprzyjazne.

Z młyna do Godek, około 80 kilometrów, jechaliśmy z całym majdanem rozklekotanym zukiem, bez papierów, bocznymi drogami. Siedziałam z dziećmi na pace, na starym fotelu i nawet nie przypuszczałam, że oto zaczyna się nasze całkiem nowe życie. 22 lipca 1982 roku Krzyś wniósł mnie do naszego obecnego domu. Był bardzo dumny – nasz pierwszy własny dom, na własnej ziemi. Przystosowanie domu do zamieszkania wymagało od niego bardzo dużo pracy. Doceniałam jego wysilek i poświęcenie, więc zagryzałam wargi, aby nie rozplakać się z żalu. Wszystko wyglądało bardziej niż skromnie. Pomimo pięknego położenia wśród pól, przy samym lesie, miejsce i budynki naznaczone były opuszczeniem i dewastacją. Wszędzie hałdy śmieci porośnięte splątanymi pokrzywami, malinami, „krzaczorami”. Wszystkie budynki gospodarcze pozbawione były przybudówek, szop, wrót, drzwi i za-
worków. W oborze zaczęto już wyrąbywać belki stropowe. Bezmyślne, doraźne działania poprzednich lokatorów, całkowity brak kultury rodziny alkoholikówomalże nie zniszczył także i tego domostwa. Poznaliśmy z czasem

wiele rozsianych dookoła na koloniach, jak to się tutaj mówi, takich siedlisk zjaw. Po gospodarstwach pozostały tylko kamienie z fundamentów, komin, piwnica i rośliny zawsze towarzyszące człowiekowi. Zdziczałe drzewa owocowe, pokrzywa, czarny bez, porzeczka, śnieguliczka to zwykle jedyni świadkowie tętniącego tu niegdyś życia. Uderzyło mnie to, że ta wieś w niczym nie przypominała wsi, jaką znałam do tej pory. Na każde wakacje nasza rodzina wyjeżdżała z miasta do leśniczówki lub do „chłopa”. Było fantastycznie mnie i bratu, wszystko nas fascynowało. Tamta wieś była piękna i mądra, tajemnicza i fascynująca. Rodzice, gospodarze i ich dzieci byli naszymi przewodnikami po tym świecie. Wtedy nauczyłam się rozpoznawać grzyby, rozpalać ognisko, dobrze pływać i wiosłować łodzią rybacką. To były najcudowniejsze wakacje. Wszędzie nas było pełno, braliśmy udział we wszystkich pracach gospodarskich i polowych. Przeżywaliśmy wtajemniczenie w świat natury. Miałam jeszcze inne bardzo ważne niemiejskie odniesienia. Po wojnie rodzina mojej mamy osiedliła się w Puszczykówku pod Poznaniem w przepisowej odległości od byłego majątku — Konarzewa. Mieszkały tam również inne znajome rodziny. Duży dom, należący do pani Ratajskiej, stał w ogrodzie nad skarpą Warty. Liczna rodzina mojej mamy (8 dzieci) zajmowała cały parter. Szerokie kamienne schody prowadziły nad rzekę. To tam zaskrońce zmieniały skórę, czasem też w letnie upały chowały się do kuchni w piwnicy. W ciemnym chłodnym rogu ogrodu składowany był kompost. Na grządce dojrzewały truskawki, które stały się przyczyną mojego pierwszego ciężkiego grzechu. Zjadłam jedną z nich przed przyjęciem komunii, łamiąc obowiązujący wówczas obowiązek postu. Był tam też przewoźnik pan Schmidt. Z piaszczystej plaży wypychał łódź w nurt rzeki i dobijał do przeciwległego, leśnego brzegu. Z daleka było słyszeć jego nawoływania. Do dzisiaj szczerze lubię czerwone żuczki w czarne kropki, które łąziły gromadnie wśród kwitnących szalwii. Tak we wczesnym dzieciństwie spędzałam wakacje — taki miałam obraz z dzieciństwa — zapachy, smaki, dźwięki, widoki, spotkania, pochodziły z innej beztroskiej rzeczywistości. Teraz poznawałam wieś zupełnie inaczej. Przede wszystkim poznawałam inne niż lato pory roku. Nie słyszałam wcześniej jak pęka lód na jeziorze, nie przechodziłam po zamarzniętych bagnach, nie jeździłam saniami po bezkresnej cichej bieli. Luty — mróz, prawdziwa zawaiewa, zasypane okna i kwiaty na szybach, to odkrycia poczynione przeze

Ryc. 1. Godki, Dorota Łepkowska zmiata śnieg z progu
starego domu – 1984 r. Fot. K. Łepkowski

mnie w Godkach. Potem roztopy, wszędzie błoto i strumyczki wody, kołujące kruki, klangor żurawi, pierwszy skowronek – te uniesienia wiosenne, to oczekiwanie, które spełnia się w kwitnącym sadzie, ciepłym deszczu wiosennym i ukwieconej łące. Jesień o smaku węgielek jest równie piękna, z jej pędzącymi chmurami, wichrami i siekającym deszczem.

Z trudem wytrwaliśmy ten rok i następne lata, bywało naprawdę bardzo ciężko, a czasem i komicznie. Dom stanowił naszą ostoję, choć nie był ani solidny, ani ładny. Wybudowała go krótko przed wojną rodzina Mertenów. Glinę na cegły pozyskali z pobliskiego pola, gdzie do tej pory na wiosnę zbiera się woda, sami formowali i wypalali cegły, łączyli je na zaprawę gliniano-piaskową a ściany obrzucili wapiennym tynkiem. Dwuspadowy dach pokryty był tradycyjną dachówką – holenderką. Budynek z piwniczką i wędzarnią posadowiony jest na płytkim kamiennym fundamencie. Tu Krzyś uwędził pierwsze szynki i kielbasy, tu nieżyjący już miejscowy „jurodiwy” szalony Kurt rozniecił ogień i, paląc własne portki, o mało nie spalił chałupy. Tu także osunął się fragment fundamentów i omal nie przygniótł sąsiada Waldka, który pomagał nam w cięższych pracach.

Tak było z każdym zakątkiem i skrawkiem ziemi, nabierały charakteru i znaczenia z upływem czasu. Dom był nie tylko mały i z nietrwałych materiałów, ale i w bardzo złym stanie, podobnie jak wszystkie budynki i całe obejście. Po wyjeździe właścicieli w 1976 roku, przez dwa lata gospodarstwo było opuszczone, wydane na pastwę złodziei i wandalii. Trzeba w nim było wymienić okna



i drzwi, ocieplić mury, założyć rynny, wzmocnić fundamenty, wylać opaski betonowe... Piece – cudownie romantyczne miejsce, gdy się przy nich siądzie – okazały się nic nie warte. Do tego dźwiganie węgla, rozpalać, wybieranie popiołu (trzy piece i westfalka w kuchni) – tego było za dużo. Dobudowaliśmy piwnicę na piec centralnego ogrzewania, a nad nią dodatkowy pokój na parterze i strychu. Dzieci rosły, urodził się najmłodszy syn Jerzyk. Starsi wyjechali z domu w szeroki świat, ale teraz trzeba było przygotować mieszkanie dla teściów. Znowu remont, zmiany, dobudówki. Niestety, rodzice szybko zmarli, może któreś z dzieci wróci za parę lat...

Własny dom był dla nas długo ciągłym zmartwieniem, zabieganiem, pracą i nieustannymi wydatkami. Dla dzieci to po prostu ich dom, a zresztą im więcej remontowego rozgardiaszu, tym ciekawiej. Przez te lata oswoiliśmy miejsce i dom i chociaż w dalszym ciągu nie jest on zbyt piękny, to jest już całkowicie nasz. Gdyby przyszło nam go opuścić, nie byłoby to proste. Tak jak starzy Mertenowie wspominalibyśmy, gdzie stało czyje łóżko, a gdzie stół.

Dom będzie żył, choć w niczym nie przypomina już tej lepianki, do której wniósł mnie mój oblubieniec 22 lipca. Nie zapomnę tego dnia również dlatego, że moi dziadkowie zaręczyli się 1 maja, a ślub wzięli 22 lipca. Było to oczywiście przed wojną, ale wybrali te daty proroczo. Aby móc wyciągnąć gospodarstwo z ruiny i zapewnić rodzinie utrzymanie, jeździłam parokrotnie na saski do Paryża. Tam przez dwa, trzy miesiące pracowałam, przeliczając każdego franka na cegły czy dachówki. Brat na emigracji i moja znajomość francuskiego okazały się zbawienne. Dzięki jego koneksjom miałam dobrze płatną i zwykle ciekawą pracę.

Dom wiejski to nie tylko budynek, to również obejście, siedlisko, a nawet okolica. To także widoki, krajobraz, rodzaj światła, stany pogody, powracające zapachy i dźwięki. Bardzo ważne są też towarzyszące nam zwierzęta. Nie ma wyraźnej granicy, gdzie kończyłby się bezpieczny dom rodzinny, a zaczynał obcy świat. Nie tylko w lecie, gdy pootwierane drzwi i okna i jasno do późnej nocy, a ziemia równie ciepła jak własne łóżko. O każdej porze dom wiejski to jakby rozchodzące się z centrum kręgi. Kolejne kręgi nie urywają się nagle, a jedynie zaznaczają się mniej wyraźnie, aż do całkowitego zatarcia. Dom to także atmosfera, relacje, zwyczaje, praca i sposób spędzania czasu. Moje dzieci bardzo ciepło wspominają częsty brak prądu. Gromadziliśmy się wówczas dookoła stołu przy świecach i graliśmy w różne gry, karty, malowaliśmy

czy dłubaliśmy jakieś cacka. Lubiły też, jak wszystkie dzieci, wspólne gotowanie, czytanie, śpiewanie, opowieści na wpół zmyślone i historyjki z dzieciństwa rodziców i dziadków. Kochana, łagodna ciocia Zosia jako dziecko była upartą złośnicą, wuj Michał stracił ząb, gryząc babcię w przysłowiowo chudą łydkę, dziadek był tak nieznośnym wszędobylskim urwisem, że jego niania w desperacji przywiązała go kiedyś do nogi stołowej. Tego typu opowiadanki wsparte ocalałymi zdjęciami także współtworzą obraz domu rodzinnego, domu rodziców czy dziadków. Nawet jeśli już ktoś inny mieszka pod jego starymi dachami, to on w nas trwa. Mój 74-letni ojciec do tej pory ma sny rozgrywające się w scenerii domu dzieciństwa, choć zmuszony był go na zawsze opuścić, gdy miał 17 lat.

Niedawno sama, ku swemu zaskoczeniu, przekonałam się o sile znaczenia domu, a tym samym i rodziny. Zwykle doceniamy to trochę późno. Po długich perypetiach administracyjno-prawnych dom dzieciństwa mojego ojca – Mordy został sprzedany prywatnej osobie bez przetargu, za bezcen. Odebrany dziadkom już dawno, ostatnio służył Akademii Podlaskiej. Rodzina starała się usilnie odzyskać sam pałac bez ziemi, aby przekazać go Fundacji Ośrodka KARTA. Mimo intensywnych, długotrwałych zabiegów nie udało się. Gdy dowiedziałam się o tej decyzji, nieoczekiwanie napłynęły mi łzy do oczu, a serce ścisnął żal i uczucie niesprawiedliwości. Ojciec i jego żyjące rodzeństwo przeżyli tyle gorszych rzeczy, że nie rozkleili się tak jak ja. Dla mnie był to jakiś symboliczny koniec. Nieodwracalny koniec ciągłości części polskiej kultury. Dom mojej mamy spotkał podobny los.

Nasze życie w Godkach było nowe pod każdym względem. Było też pracowite, pochłaniające i długo niepewne. To, że przetrwaliśmy i ułożyliśmy je sobie, zawdzięczamy w dużej mierze innemu domowi. Zawdzięczamy to moim rodzicom z ich mokotowskim mieszkaniem, w którym się wychowałam. Oni trwali przy nas pomimo krytycznego stosunku do naszej decyzji. Byli doraźną pomocą i bezpiecznym odwozem – gdyby zabrakło węgla, dziecko poważnie chorowało czy nie wystarczyło nam już sił. Tak więc wznosiliśmy nasz dom na ich domu. To jest piękne. Co będzie dalej z tymi dwoma domami – czy padną czy udźwigną następne?

Po wielu latach życia w Godkach mamy i drugi dom – gościnny, nazywany oficyną. Jest to wyremontowana stara obora. Dawniej hodowaliśmy w niej sporo bydła, świnie, króliki. Budynek ten był znacznie solidniejszy niż dom,

▼ Ryc. 2. Godki, widok na gospodarstwo Doroty i Krzysztofa Łepkowskich Fot. K. Łepkowski

gdyż postawiono go już za hitlerowskie kredyty. Stopniowo zmienialiśmy jego funkcje, wymagał jednak gruntownego remontu. Prace te zresztą nigdy się na dobre nie zakończyły. W tym domu przyjmujemy bardzo wielu różnych gości. Przy naszym gospodarstwie ekologicznym prowadzimy równolegle prace edukacyjne, głównie dla dzieci i młodzieży. Dzielimy się tym wszystkim, czego nauczyło nas życie. Organizujemy i prowadzimy warsztaty rękodzielnicze i artystyczne, obozy wakacyjne, praktyki studenckie, „zielone szkoły”, edukacyjne programy dla lokalnej młodzieży itd. Tym samym, choć wcale nie było to łatwe, przyjmujemy pod naszymi dachami kolejnych ludzi — mieszkańców na chwilę — zwykle nieświadomych zawiłych dziejów tej krainy.

